

"GWIAZDA"

to dziś nic nie znaczy

Z KRYSYŃĄ JANDĄ rozmawia
Barbara Kazimierczyk

● Spotkałyśmy się w pani garderobie po spektaklu „Męża i żony”. Z wznowionym po latach przerwy klejnocikiem Fredrowskim. Teatr Powszechny lada dzień wybiera się do Chicago.

— Całkiem przypadkowo w Chicago zrobił się taki właściwie festiwal naszego teatru. Już od pewnego czasu jeździmy tam na zaproszenie prywatnego impresaria, w którego intencji miały to być wizyty dochodowe. I chyba są, skoro pani Irena Zawadzka, zaryzykowała, nie poprzestała na jednym razie. Niedawno byłam z „Kobietą zawiedzioną”, wcześniej koledzy pojechali z „Ożenkiem”, a teraz wybieramy się tam z Fredrą. Wygląda na to, że wkrótce pokażemy tam cały repertuar Powszechnego.

● Jest to, jeżeli się nie mylę, na gruncie Polonii ewenement?

— Tak, wcześniej nie gościły w Chicago spektakle teatralne, raczej składanki, głównie estradowe. Zapraszało się — jeżeli już — to pojedynczych aktorów. I tak np. pojechałam wcześniej z „Białą bluzką” i „Shirley Valentine”, ale to były przecież monodramy. Amerykanie nazywają to *one woman show* i są do tego przyzwyczajeni, jak również Polacy osiadli w Stanach. Pełny spektakl, grany w ogromnej sali Copernicus Center dla 2 tys. widzów, niósł z sobą jednak niemałe ryzyko, bo trzeba było założyć optymistycznie, że wypełnią ją chętnie. I oto okazało się, że mamy tam publiczność. Że Polonia chicagowska bardzo chce nas oglądać, cieszy się nami i sama się zmienia z upływem lat. Jest dziś po prostu młodsza, z podobnymi jak publiczność krajowa wymaganiami.

● Pamiętam pani debiut w „Portrecie Doriany Greya” Shawa w Teatrze Małym (1976 r.), gdzie zagrała pani postać tytułową. Już wtedy była w pani ogromna żarliwość, powiedziałabym, pazerność na wszystko, co wiąże się ze sztuką.

— Mój debiut wypadł z pewnym opóźnieniem. Przez cały rok po ukończeniu PWST zajmowałam się moim dzieckiem, Marysią.

● Wcześniej czy później musiało dojść do objawienia się pani silnej indywidualności jako reżysera. Właściwie dziw, że widzowie „Na szkle malowane”, telewizyjnej „Heddy Gabler” i filmowej „Pestki”, w tych dniach wchodzącej na ekrany, musieli czekać na to aż tak długo.

— W pewnym momencie rola odtwórczyni pomysłów innych przestała mi wystarczać. Pomysł, żeby zrobić „Na szkle malowane” w Powszechnym, wyszedł ode mnie. Tymczasem różni reżyserzy mówili: nie warto, to głupi pomysł. Tak uważali, nie kłamię!... Na

to dyrektor Krzysztof Rudziński zdecydował, że skoro z ideą wystawienia tej śpiewogry jestem związana tak emocjonalnie, powinnam ją wyreżyserować. I okazało się, że jakoś idzie i że nie jest to głupi pomysł. Podobnie było z „Pestką”, która od pięciu lat chodziła mi po głowie. Po prostu bardzo chciałam zagrać postać Agaty. Tylko że znowu pomysł zekranizowania bestsellerowej powieści Anki Kowalskiej jakoś nie leżał żadnemu z reżyserów filmowych.

Pracując w jakimś spektaklu z producentem Pawłem Rakowskim „poskarży-



Fot. Krzysztof Wellman

lam” mu się na tę „Pestkę”. Że już tak jestem tym zdenerwowana, że sama bym ją wyreżyserowała, do tego stopnia materiał wydaje mi się interesujący. Tak? — Paweł na to. — Kiedy zaczynamy? I w taki sposób narodziła się filmowa „Pestka”.

Po drodze powstały dwa spektakle telewizyjne, właśnie „Hedda...” i „Cyd”, którego premiera odbędzie się w marcu. Po prostu Paweł powiedział mi, że nim zaczniemy zdjęcia do filmu, powinnam sprawdzić, czy daję sobie radę z opowiadaniem kamerą. Słowem, tak mi się jakoś układa szczęśliwie w tym moim „nowym” życiu, że ludzie dookoła mnie sprzyjają mi w moich reżyserskich zamiarach.

● Jest pani gwiazdą, nazwiskiem, a to wymierna, przekładalna na pieniądze wartość w warunkach wolnego rynku.

— Gwiazda to, moim zdaniem, nic nie znaczy. Albo znaczy mniej niż sobie ludzie wyobrażają. Nie czuję się gwiazdą. Mam natomiast świadomość, że jeśli pragnę coś zrobić, jest mi łatwiej. Po prostu ludzie na to co zrobię, przychodzą bez względu na to jak zrobię. Jeżeli źle — to choćby po to, żeby zobaczyć, jak mi się noga powinęła. Oczywiście, trzeba robić tak, żeby publiczność była zadowolona. Ona jest przecież najważniejsza, jest naszym bogiem.

● „Kobietę zawiedzioną” gra pani właśnie po raz setny i piętnasty, „Shirley Valentine” nie schodzi z afisza od lat pięciu i nie uważa się pani za gwiazdę? Co pani myśli o kondycji aktora? Czy wolny rynek ją pogorszył, czy polepszył?

— Ani tak, ani tak. On ją po prostu zmienił diametralnie i wcale tym zmianom nie koniec. Dla mnie rzeczą niesłychanie ważną jest tkwienie w twórczym zespole. Uważam, że tylko wtedy aktor ma szansę rozwoju. Jeżeli gra, powiedzmy, tylko w filmie, to wyprzedaje to, czego już się nauczył, a z rozwojem trudniej. Z mojego punktu widzenia warto być w tea-

trze, warto zarabiać w nim nawet małe pieniądze — to my, aktorzy z nazwiskami, przynosimy dziś pieniądze do teatru, nie odwrotnie — ale być otoczonym partnerami, kolegami, którzy czegoś chcą wspólnie. Bo tylko to aktora rozwija. Bez oparcia w zespole, aktor umiera, nawet ten, z nazwiskiem. Wiadomo, że pieniądze na życie zarabia się dziś poza teatrem, w filmie, w telewizji. A jednak nic teatru nie zastąpi i dzisiaj, i jutro. Dlatego reforma systemu funkcjonowania teatrów jest sprawą tak pilną. Systematyczne kurczenie się dotacji i wyścig za utrzymaniem widza za wszelką cenę, stwarza sytuację nie do utrzymania. Jeśli będzie ona trwała, niedługo z szacownej, elitarniej instytucji teatru pozostaną same gołe mury. A i te pewnie runą niebawem.

● Kiedy wylatujecie do Chicago?

— Najpierw lecę z grupą kolegów do Nowego Jorku, gdzie odbędzie się ważny, obejmujący 60 obrazów, przegląd filmów polskich w Lincoln Center. Wracam do Warszawy na tydzień i zaraz potem nasza piątka: Joasia Żółkowska, Janusz Gajos, Piotr Machalica, Gustaw Lutkiewicz i ja udajemy się do stolicy amerykańskiej Polonii.

● Pani kontakty z wojskiem?

— Chyba raczej z „Polską Zbrojną”, w której recenzje — nie tylko teatralne — czytam z przyjemnością, bo mają zawsze początek, uzasadnienie i koniec. Miło wspominać również spotkania w garnizonach, choć w trakcie jednego z nich żołnierze zdołali mnie zaskoczyć. Po półtorej godzinie miłej i grzecznej rozmowy, jeden wstał i zapytał, co im na zakończenie... pokażę. Oslupiałam. Sprawa się wyjaśniła, gdy powiedzieli, że niedawno był u nich Daniel Olbrychski, który po spotkaniu, na żądanie obecnych, zrzucił garnitur, aby przez dalsze dwie godziny ćwiczyć wraz z żołnierzami przewrotkę. Niestety, musiałam spasować...